

Pismo to wychodzi  
trzy razy w tydzień  
to jest: w Ponie-  
dzialek, Środę i  
Piątek o drugieji  
po południu.

# ZBIÉRACZ LITERACKI.

Zaliczenie na 36<sup>ś</sup>  
Nrów wynosi Zlp.  
6 i przyjmuje się w  
księgarni Czecha,  
w handlach Kocho  
i Schreibera.

ŚRODA 13 GRUDNIA

N<sup>rn</sup> 15.

1837 ROKU.

## POETA I MALARZ

Z XVII. WIEKU.

PRZEZ JOZÉ BERMUDEZA DE CASTRO.

Na ciemnej i nieschludnej uliczce w Sewilli, stał niegdyś stary dom, którego budowa, zaczawszy od posady aż do samego dachu, przez częste dodatki i przemiany do tego stopnia różne kształty brała, iż biedny architekt, który niegdy z dumą artysty plan nań wykręślał, nie byłby już roku pańskiego 1616 poznał swego własnego dzieła. Dom ten miał podówczas dwa piętra, jeżeli nizka izdebka na strychu bez podłogi, do której tylko drabiną dostać się można było, na drugiego piętra nazwę zasługiwała. Nie od rzeczy będzie, kiedy wewnętrzne urządzenie tego poddasza bliżej poznamy.

Młodzieniec nie więcej nad 18 lub 20 lat mający, którego twarz brunatna surowość męzką znamionowała, trzymając w jednej

ręce paletę, a w drugiej pędzel, stał przed pulpitem, i zatapiał swój wzrok płomienisty w uśmiechające się chłopię na obrazie Tycyana, które kopijować się zdawał. Ze go ta praca nie zadowolniała, poznaćto można było ze zmarszczonych brwi, z przygryzionych ust, i z żywych poruszeń młodego artysty. Dwa lub trzy razy odstał od obrazu, aby dziełu swemu lepiej się przypatrzył; oczy jego przenosiły się lotem piorunu z oryginału na kopiję; poczem przyłożył pędzel, zaczął coś rozcieniać, dał kilka pociągów pędzlem i znowu porównywał, aż w końcu uderzając z wściekłością nogą o ziemię, wykrzyknął z rozpaczą: «A niech cię wszyscy.....!» nie domówił, bo jako dobry chrześcianin pomiarkował się, i tylko przytłumionym, łagodniejszym ozwał się głosem: «Teraz ty Boże, zmiluj się nademną! Któż jest w stanie nadać kolorystowi ton tak

uroczy! Zadumany, walcząc sam z sobą, stał przez kilka chwil spokojnie, aż go zuowu jego niecierpliwy duch nagabać zaczął, porwał się, cisnął paletem i pęzłem o niewinne płótno, uderzył pięścią o malowidło i obalił je z podstawą na ziemię. Rzucił się pełen rozpacz na krzesło i oparłszy głowę na rękę, zapadł w głuche otętwienie. Był to niemoc umysłu, rozpacz jenyusza, który widzi otwarte niebo, a wzbić się ku niemu nie zdoła.

Tak udręczony i zadumany siedział nasz młodzieniec. Zdawało się, że kurecz przesilny ścisnął nerwy jego; potem podniósł głowę, spojrzał dziko w około siebie, znowu zakrył sobie oczy, i bił się zwiniećmi pięściami w czoło. Mijały godziny, młodzieniec nie brał pokarmu; mijała noc, młodzieniec oka nie zmrużył. Dopiero z braskiem dnia dźwignął się ponury i zasępiiony z krzesła nieprzytomny sobie, podkręcił miękki wąsik, i zlazłszy na dół po drabinie i przeżegnawszy się pobożnie, wyszedł z domu. Jego w głąb zapadłe oczy i bladość chorowita twarzy świadczyły, że odbył ciężką walkę duszy.

Młody nasz artysta, będąc dobrym chrześcjaninem, udał się na sam przód do kościoła, a gdy wysłuchawszy mszy ś. z uspokojonym nieco umysłem już wracał do siebie, ktoś go lekko uderzył po ramieniu i ożwał się znajomym głosem: «Bóg z tobą, przyjacielu Diego!»

Człowiek, który tak go zagadnął, mógł mieć około lat 60, był wzrostu słusznego, dobrej tuszy, twarzy od słońca ogorzalęj; czarne ogniste oczy przemawiały duchem wojny i umiactwa, zapalem bohatera i entuzjazmem artysty. Małe i zapadłe usta przechowywały nie wiele już zębów; z reszty zaś rysów można było wyczytać ślady męskiej i rzadkiej niegdyś piękności. Człowiek ten miał na sobie przeszarżany płaszcz z czarnego kamlotu, kaftan z takiejże materyi, nie mało już wytartęj, krótkie, obcisłe spodnie z kolorową wypustką, wielką szpadę u boku i czapkę na jedno ucho. Cały ten ubiór był obrazem niedostatku, lecz razem odznaczał się czystością.

Zaiste było bardzo zajmujący widok patrzeć na tych dwóch ludzi, razem stojących. W mło-

dzińcu sama nadzieja, w stareu same wspomnienia; obaj walczący z losem, obaj patrzący na siebie oczyma, które znamionowały ognistą duszę, twórczy geniusz, wzbudzała fantazyę, życie, o które płomieniste natchnienie, jak pilnik stalowy, zjadliwie tarło. O! ktoby ich był obudwóch razem widział, tenby zapewne był zawołał: «Nie sąto powszednie dusze! w ich pierśsiach mieszka duch potężny, mieszka niebo i piekło?» Jednego czekało lub samobójstwo lub sława niepożyta; drugi... łamał się już nie raz z żelazném przeznaczeniem i toczył z niém bojów olbrzymich tysiące.

«Ale cóż znaczy, powiedz mi, ta bladeś, ten wzrok ponuro ognisty? O! nie traw młodzieńcze daremnie życia, które tak sławném być może...»

«Przepędziłem noc okropną, noc pełną łez, pełną udręczenia, wściekłości i rozpacz!» To mówiąc z zapalem młodzieńiec chwycił swego drugiego ojca, swego przyjaciela za rękę, i w głębi pierśsi stłumił ciężkie westchnienie.

«I cóż temu wszystkiemu było powodem lub przyczyną?» zapytał starzec; «może nierozważna miłość? lecz nie, znam cię, to

być nie może... Młodzieńcze, powiedz mi, co tobie?»

«Co mi jest? Ach! straciłem wiele, straciłem wszystko! moje marzenia o sławie zamięrzchły! lot moich skrzydeł wstrzymany — z wysoka upadłem!»

«Możesz siły swoje przeteżyl — możesz chwili świętej, chwili natchnienia nie czekał!»

«Ani o włos wyżej nie postąpił! na jedném miejscu zostanę na zawsze, zgubię się w tłumie mierności — zgasnę bez pamięci!»

«Nie, młodzieńcze, nie; nie na toś, abyś nieznanym w ciemności zakończył życie — wznieś śmiało czoło — pomnij, jaka cię chwała czeka, chwała potomności!»

«Chwała! chwała potomności! ach, marzyłem ja o niej! za te marzenia tobie mam dziękować, one mię do rozpacz przywiiodły; chciałem żyć w podziwieniu współczesnych, lub umrzeć! Wy rzekłem się mierności, która tylko życie brudzi, chciałem świetnieć; ale teraz — jakże wzleczę? czém się odznacę? czém zachwyczę?»

«O, młodzieńcze, nie bluźń! gdybym przy mojej fantazyi, twoję rękę, twój pędził posiadał!»

rzekł ów drugi, kładąc z natchnioném spojrzeniem rękę na ramieniu młodzieńca; « ty nie wiesz, jaki skarb posiadasz; pracuj tylko, a ja ci ręczę — »

« Nadaremnie! sława straciła już dla mnie wszystkie powaby! prędjéj zniszczęjé, nim się z pozomości w górę dźwignąć zdołam! »

To rzekłszy zamilkł, i wkrótce znowu się w te słowa odezwał: « O mój ojcze! i tyś niegdy o sławie marzył, pisałeś komedye, powieści, składałeś boskie pienia, a teraz — ! cóż ci z tego przyszło? jakąż masz więtość, jaką nagrodę? czy twoja sława w tym płaszczu, w tym kaftanie mieszka? świat w dostatek okwity, a ty, jego gwiazda... ach! »

« Wszystkoto prawda! » rzekł starzec smętno, « wszystko prawda! biédny jestem, opuszczony, schorzały, prześladowany; oto owoce mojej sławy! Takażto, taka, o wielki Boże, nagroda! Tu zwiesił głowę, lecz na chwilę tylko: « Ubogi jestem, » rzekł z szlachetną dumą, « ubogi jestem, jednakże poważany, czczony mimowolnie. A oweż lube sny moje o miłości i szczęściu? owe istoty, którym twórczą mocą, z ich cno-

tami, charakterami, namiętnościami, w byt i życie wywoływał? istoty, w których się pie szczośnie jak we własnych dzieciach rozmiłowałem! owe święte, uroczyste chwile mego natchnienia, mego najśłodsze go szału — ! owe błogie, rozkoszne, niebiańskie zachwycenia — ! ów polot wieszczego ducha, wolny, strze listy, niewstrzymany, jak eter nienjęty — ! owe duchowe, idealne światy, które mi żyję, i z których zdroj życia mego czerpię? czyliżto wszystko, za wszystkie ciępienia, za wszystkie dolegliwości życia nie wynagradza? któż jest mocen, kto zdoła tych mię skarbów pozbawić? czémże jest cała ziemská sława w porównaniu z temi rozkoszami bogów! Wszystko zmysłowe proch i nicość, wiecznie żyją dzieła jenyusza! »

Głębokie zmarszczki jego rozglądziły się, twarz posępna rozpogodziła się, kiedy słów tych domawiał; oczy zajaśniały i roziskrzyły się młodzieńczym zapalem; jego szlachetna, w górę podniesiona głowa, jego wzrok, który ziemski padól berłem niebieskiem przemierzać się zdawał — wszystko w nim oznajmiało jenyusza tryumfującego.

Wzrok orli, czarodziejska, strumienista wymowa starca, przełamały upor młodego malarza. Własnym przekonaniem o swojej umysłowej słabości zawstydzony, spuścił w dół oczy, a gdy mu rzekł starzec: «Pójdź ze mną do swego mieszkania!» poszedł za nim powolny i potulny, jak ona owieczka.

Pracownia malarza była jeszcze w tym samym stanie, w jakim ją zostawiliśmy.

«Gdzież jest płótno?» zapytał starzec.

«Oto jest,» odpowiedział młody jego przyjaciel, i podjął je z ziemi zakurzone i zwałane.

Starzec spojrział na malowidło i zrumienił się z radości. «Wstydz się, wstydz! kto się taką pracą nie zadowolnia, tego nie już zadowolnić nie zdoła! Zepsuleś dzieło mistrzowskie! Ileż tu było uroku, i tobież to nie w zadość!?» Tu zaczął się lepiej przypatrywać obrazowi. «Wyraz pełen ognia — twarz śmieje się. Koloryt, jak potrzeba, przedmiot żywcem zehwycony, pęczel śmiały!... Ale ta pośrednia barwa, ten pośredni ton kolorytu! to jedno szpeci twoją pracę; dla czegoż tak bardzo rozcieniowałeś?»

«Otoż to właśnie, co mię do rozpaczy przywiodło!» zawołał malarz z żywością. «Postrzegłem ten niebieskawy urok, to lśnące się coś około ust oryginału, co nie ginąc, tak łagodnie bez sprzeczości z cieniem się mieszało! widziałem to, pojąłem duszą, a nie byłem w stanie oddać, com czuł i widział! Powiedz sam, azaliż to mało do rozpaczy powodów?»

«Bynajmniej! maluj tylko z wesołym, gorącym umysłem; idź za własnym popędem natchnienia, i porzuć naśladownictwo, ten żywioł niedołęznego ducha!»

«Lecz jakże sobie pocznę? jakże zdołam co wynaléć? jaki koloryt wymyślić, którego by mi już Tycyan i Corregio nie wydarł! O! czemuż tak późno na świat przyszedłem!»

«Naśladuj przyrodę: wszysey mniej lub więcej przedstawiali ją niewiernie; jeden nadto ją upiękniał lub umiłał; drugi nadto upośledzał. Ty ją maluj taką, jaką jest wistocie, z całą jej boską pięknnością, z całą majestaticzną wielkością, którą z rąk boskich wzięła; maluj ją z wszystkiemi jej chimerycznemi niedoskonałościami — nie nie dodając, ani ujmując! chwyć ją ży-

ciem, żyjącą! Twoja fantazyja, twój pęzel, reszty dokonają. Wtedy to, mój przyjacielu, wtedy i sława w ślad za tobą pójdzie; ale szczęście — o! nie łudź się, nie łudź — szczęście, bardzo wątpię! Jeżeli się zawieści i siedeł jój lękaasz, jeżeli się w wyborze między szczęściem a sławą chwiejesz — jużes na jennyalnego artystę nie zrodzon, już ci pęzel porzucić! już cię demony oskoczą, już cię świat w nieości swojej zanurzy!»

«Nie!» zawołał natchniony słowami starca, jakby pędem wiru porwany młodzieniec; «nie, na Boga!» nie waham się: niech mię tylko łuna sławy promieni! nie ugnę się przed żadną przeciwnością losu; niechaj mię świat do walki wzywa, śmiało stawię mu pole. Zniosę głód, szyderstwo, zniosę wszystkie cierpienia!» To wyrzekłszy podniósł w górę głowę i wziął postawę do walki, jakby wyzywającego.

«Takim podobasz mi się, takim cię widzieć chciałem, synu mój!» rzekł wzruszony starzec. «Godzien jesteś tego daru, jakim cię niebo wyposażyło. Ach! gdybym ja był twoją czarodziejską sztukę posiadał! Imię moje

rozbrzmiałoby po całej ziemi, i mniejby nieszczęść na głowę moje padło! Patrz na to czoło! azaliż tu nie są wszystkie nieszczęścia wyryte? Żyłem w świecie, który mię zrozumieć nie mógł: musiałem własny mój jennyusz w sobie zdławić, bo nie byłem zdolny przenieść go na płótno, lub wydłucić w marmurze; moja ognista dusza chciała albo życiem wdziała się przedziérzgnąć, albo sama w sobie strawić. Życie wojenne równie przyrzeka wawrzyny i nieśmiertelność, zostałem żołnierzem, a Bóg to wie, żem temu powołaniu, które żar mojej duszy gasiło, i które ją rozprzestrzeniało, żadnego wstydu nie przyznosił. Nie długo trwało, los mię wytracił z tego zawodu. Patrzaj!» tu obnażył młodzieńcowi wielką bliznę na niewładnej ręce; «czy widzisz? Musiałem porzucić wojenne rzemiosło, a wziąć się do pióra! Pióro stało się moim pędem, dawałem byt obrazom, tworzyłem je śmiało rysy, wyposażałem bogactwem takich kolorów, jakiemi świetnieją twoje.

«Ach, jak piękne są te obrazy!» wykrzyknął młodzieniec z podziwieniem.

« Jeszcześ mego arcydzieła nie widział, » mówił dalej starzec, « tu je na mojej piersi noszę; i z niem każę się pochować! Mniemano, żem napisał księgę potwarzy i obelg; rzucili się na mnie, przesławiali mię, i ta książka stała się źródłem wszystkich moich cierpień, a jednak dla tego samego kocham ją jeszcze więcej! » To rzekłszy dobył ostróżnie z zanadru gruby, drobno i gęsto zapisany zwitek, i zaczął przed okiem duszy malarza rozwijać obraz niezmierny, rozpościérać barwisty kobierzec, naszyty powieściami świętych, eterycznych, woniejących, cudownych kwiatów! Tysiące najdziwniejszych przygód, tysiące śmieszności żartem i wdziękiem upięknionych; tysiące fantastycznych arabesków z przypowieściami, pełnemi najgłębszej mądrości życia; z ustępy niewinnej lub czulej, szczęśliwej lub nieszczęśliwej miłości; z uśmiechem radości lub wstydu rumieńcem, z duchem anakreontycznym lub elegiackim; cała widownia życia, z wszystkiemi swemi uroczemi widami i złudnemi marami, z cierpieniami i ucieciami — z tysiącami charakterów, tak zmiennych, jak koleje czasu; słowem, fantastyczny, a jednak prawdziwy, rzeczywisty

obraz, skarbiec komiecznego humoru, któryby samego monarchę ciemności do śmiechu rozłechtał!

Młody malarz i słuchem i duszą zatonął cały w uroczych obrazach, kiedy starzec nagle czytanie przerwawszy, ocknął go z zachwycenia: « Terazés w prawdziwym zapale! » zawołał starzec, któremu uczucia malujące się w oczach młodzieńca, więcej zadość sprawiały niż poklask tłumu; « teraz sam czas, teraz młodzieńcze węz się do pędza! »

« Ach, po tém wszystkiém, com słyszał, cóżbym mógł, cóżbym zdołał malować?... a tenże średni ton kolorytu, dla mnie tak nieszczęsny! »

« Maluj przyrodę dziewczę, bez wszelkiej okras, a staniesz się artystą rodzinnym, malarzem pierwotworczym, i świat cię z grobu wywoła. Że ci się powiedzie, ręczę ci za to, ale przysięgnij mi, że wykonasz, co odemnie usłyszysz. »

« Przysięgam! » zawołał młodzieniec, wyższym pokonany jennyuszem. Otworzył okno, natarł kolorów, naciągnął na ramy świeże płótno, pochwycił w rękę pędzel i laseczkę malarską, a potém stanawszy przed płótnem, zapytał: « I cóż mam malować? »

Starzec spojrział przez okno, i odpowiedział bez namysłu: «Tego oto! co go tam widzisz!» I wskazał na zgrzybiałego wodonosza, który właśnie w téjże chwili ze skórzanego szawłoku dwóch spragnionych napawał. «Młodzińcze, nie wahał się! Maluj go! przeniś żywcem na płótno, z jego dziką duszą, która mu z oczu nieszlachetną krnąbrnością patrzy; przenieśto wszystko na płótno, a wtenczas dopiero powiem: że jesteś jennysem!»

Lotem lyskawicy przedmiot ten przeniknął młodzińczą fantazyę malarza, jął rysować spieszenie, śmiało, bez wycieńnienia, niekształtnie, ale ognisto, jak wulkan. Na palecie mieszały się najsprzecznějšíe kolory, ale jakże się spływały w jedność i zgodę na płótnie, jakże oddawały wszystkie zmiany światła doskonale, wedle natury i porządku! Z jakąż prawdą, z jakąż wiernością przyrody zaczęły wylaniać się i występować z tła swego owe kątownate rysy, owe zielonawe półcienia, owe półtony kolorów, owe poszarpane cienia lutój, ostrój twarzy! jakże udane były te żyłowate ręce, ta ogorzala, wyschła skóra wieśniaka!»

Już dzieło prawie było na ukończeniu, kiedy czoło młodzińca nową powlekleo się chmurą. «Przeklęty półcieniu!» zawołał, «znowu się tu wkradłeś!» To mówiąc już zamierzył pędzlem i chciał nałożony kolor rozciągnąć, gdy go stary żołnierz zchwycił za rękę i zawołał:

«Stój, ani mi się waż poprawiać! jak mi Bóg miły, na to nie zezwól!»

Malarz zaczął się wydziierać starcowi: «Zaklinam cię na Boga!» rzecze na pół gniewny, «puść mię! każda chwila jest droga! moja fantazyja jeszcze jest pełną swego przedmiotu...»

«Pomnij na swoją przysięgę.» Lecz młodzieniec nie słuchał go bynajmniej, i starał się zrak jego uwolnić, co gdy mu się nakoniec udało, postąpił znowu przed płótno i — stanął, jak wryty; ów półcień, ów średni ton koloru, tak trudny; ta skała, o którą się młodzian rozbijał, znikła, a obraz był zupełnie skończonym. Byłoto arcydzieło!

Młodzian spojrział zdziwiony na starca, a ten się uśmiechnął: «Widzisz mój synu, że ja słusność miałem. Teraz sam się przekonaj, że ta mgła ten lekki cień, który widziałeś, był tylko złudą twojego wzroku, długim wpatrywaniem się we wzór wysilanego. Powiedz, czegoż temu obrazowi jeszcze nie dostaje? Nie waż się go więcej dotykać. Straciłby na żywności i duchu, coby na gładkości zyskał.»

Zuśmiechem podziękii i wewnętrzne go zadowolenienia podpisał sam młodzieniec na dole obrazu: *Velasquez pinxit.* «Nieśmiertelnym będziesz Diego Velasquez de Silva!» rzekł starzec. Velasquez pochwylił starca w ramiona, i ze łzami radości zawołał: «Ty Miguelu de Cervantes Saavedra! To, coś mi czytał, przetrwa wszystkie wieki!»